EWA PLESZCZYŃSKA

ur. 1929; Sandomierz

Miejsce i czas wydarzeń	Magnuszew, II wojna światowa
Słowa kluczowe	Magnuszew, Studzianki, II wojna światowa, ojciec, matka, siostra, babcia, kuzynka, Rosjanie, Niemcy, walki niemiecko-rosyjskie, przyczółek warecko-magnuszewski, apteka, naloty, bombardowania, niemieckie samoloty, rodzina Sobierajów, przeprawa przez Wisłę, AK

Walki niemiecko-rosyjskie nad Wisłą w 1944 roku

Ojciec po powrocie do Magnuszewa w jakiś sposób związał się z AK. Dostarczał leki oddziałom partyzanckim. Tak żeśmy przetrwali tę wojnę w Magnuszewie. W [19]44 roku, kiedy Sowieci podchodzili do Wisły, Magnuszew został ewakuowany, ponieważ tu miały się rozegrać jakieś bitwy. Mieszkała z nami babcia i jeszcze kuzynka, która przyjechała z Warszawy do nas na wakacje. Była córką jednego z tych pasierbów babci Marylki, którzy byli w armii Hallera. Zostałyśmy przewiezione do Studzianek. To był jeden z folwarków, należących do majątku Trzebień, do majątku Zamoyskich. To była miejscowość otoczona lasami, wydawało się, że taka bezpieczna. Do tych Studzianek rodzice wysłali babcię z nami, a sami zostali na posterunku. Ale wkrótce, już po paru dniach, my w tych Studziankach obserwowałyśmy takie wstęgi katiusz, które zza Wisły przerzucane były. Niemcy wycofali się, pomiędzy Wisłą a Radomką powstał tak zwany przyczółek warecko-magnuszewski. Niemcy wycofali się mniej więcej na głębokość dwudziestu kilometrów. A Sowieci forsowali Wisłę, przerzucali swoje wojsko. Wcześniej to jeszcze różne się tam rwały granaty w Magnuszewie, domy były uszkodzone i rodzice też przyszli do Studzianek. A Sowieci dostali się bardzo szybko tam i kiedy już byli w Studziankach, rodzice uznali, że trzeba wrócić do Magnuszewa. Ja z rodzicami i z kuzynką wyruszyłam przez lasy piechotą do Magnuszewa, a babcia z Hanką, która wtedy właśnie ciężko chorowała na gruźlicę i tak się ją chroniło, została jeszcze w tych Studziankach. Przyszliśmy do Magnuszewa. Przed drzwiami apteki stał żołnierz sowiecki z karabinem, ojciec się przedstawił, że jest właścicielem, on tam poszedł pewnie do jakiegoś swojego zwierzchnika, wpuścił ojca, a tam był obraz nędzy i rozpaczy. Wszystko było splądrowane, wszystkie ojca papiery z biurka na podłodze, z szaf wszystko było wyrzucone na podłogę. Apteka była nienaruszona, poza chyba spirytusem, który był gdzieś tam w piwnicy. Po paru dniach zaczęły się okropne niemieckie naloty,

właściwie nieustanne, można powiedzieć. W czasie pierwszego dnia nalotów ojciec powiedział, że musimy zejść do piwnicy. Myśmy zeszli do piwnicy, jeszcze tacy różni znajomi, których domy zostały uszkodzone, między innymi ten mój profesor z Poznania z żoną. Ukryliśmy się w tej piwnicy i wtedy trafiła nas bomba. Gruz zasypał piwnicę. A to była taka [piwnica], że się wchodziło z podwórka. Tam było paru mężczyzn, to się jakoś zaparli i zdołali te drzwi otworzyć. Gruz się cały wsypał do piwnicy, a myśmy zobaczyli na zewnątrz ogień po prostu, czarne dymy. To było już tak pod wieczór. Rodzice wyszli, ja nie wiedziałam, gdzie są. Mama zdążyła krzyknąć: „Słuchajcie, będziemy się kierować w kierunku Grzybowa, żebyśmy się nie zgubili". To taka wieś, z której pochodziła nasza gosposia, [która] była wtedy z nami. Wtedy kolejny nalot. Myśmy tak jakoś pokładli się na ziemi. Kiedy skończył się nalot, ja wstałam i nic nie widziałam wokół siebie, nic. Tylko te krwawe dymy. Na szczęście obok mnie leżała ta kuzynka. Powiedziałam: „Marysiu, trzymajmy się" i trzymałyśmy się za ręce. Nigdzie nie ma [rodziców], myślę sobie: no zginęli chyba. I zaczęłyśmy z tą Marysią iść w kierunku lasu, przez pola takie w kierunku lasu. Trafiłyśmy do jakiejś stodoły, tam żeśmy się ukryły. Dużo ludzi już tam było. Przetrwałyśmy tak do rana, a rano ja powiedziałam: „Wróćmy jednak w kierunku domu. Może się tam odnajdziemy z rodzicami". I wyruszyłyśmy przez te pola, stały wtedy snopki, to był sierpień. Co jakiś czas krążyły niemieckie samoloty, które zniżały się i strzelały do każdego, kto się tam znalazł. Tak że myśmy od snopka do snopka przebiegały, żeby on nie zdążył nas trafić. Ja widziałam nawet postać tego pilota, on po prostu strzelał z karabinu maszynowego. Myśmy nie doszły do Magnuszewa, bo myśmy się bały. Wróciłyśmy do tego lasu, do tej stodoły. Był kolejny nalot i ktoś otworzył drzwi tej stodoły: rodzice moi. [Od tej pory] trzymaliśmy się razem i już nie zmierzaliśmy tam do Bronci, tylko poszliśmy w odwrotnym kierunku, do takich Sobierajów, ludzi zaprzyjaźnionych z nami, przed wojną chodziliśmy tam do nich, chłopcy rozpalali nam ogniska, a pan Sobieraj przychodził do nas rąbać drzewo, bo w piecach paliło się drzewem. Sprowadzało się takie całe metry drzewa z lasu. On przychodził, rąbał to drzewo, układał w takie wiązki i tym drzewem się paliło. No więc właśnie do nich żeśmy przeszli. Tam jeszcze więcej ludzi było, poukrywali się już w tych wszystkich stodołach, oborach, gdzie tylko mogli. Był też ksiądz i przy kolejnym nalocie dał wszystkim rozgrzeszenie na wypadek śmierci.

Myśleliśmy, co się stało z babcią i Hanką w tych Studziankach. Nie docierały do nas wieści żadne. Tylko cały czas naloty, ostrzeliwania, huk i tak dalej. W pewnym momencie któryś z tych chłopców Sobierajów przyszedł i powiedział tak: „Widziałem pannę Hanię", rodzice pytają: „Gdzie?", „A leżała w miedzy", „Gdzie? Zaprowadź". On nie bardzo wiedział gdzie, wobec tego mama poszła w jedną stronę, ojciec poszedł w drugą stronę. Hanki nie ma. W pewnym momencie ni stąd, ni zowąd zjawiła się babcia. Do tych Sobierajów przyszła. Rodzice pytają: „Gdzie Hania?", „Nie wiem". Co się okazało? Studzianki siedem razy przechodziły z rąk do rąk. Niemcy, Rosjanie, Niemcy, Rosjanie. Kto mógł, to stamtąd uciekł, babcia z Hanką też powędrowały w

kierunku Magnuszewa. [Babcia wiedziała] mniej więcej, gdzie ci Sobierajowie mieszkają, skierowała się tam.
W pewnym momencie Sowieci się pojawili i powiedzieli, że tu będą się toczyć bardzo duże bitwy i żebyśmy stąd wyszli. Zanim oni kategorycznie kazali nam się wynieść, myśmy uznali, że trzeba jakoś przeczekać. Różni tacy znajomi zaczęli sobie kopać jamy w ziemi, wchodzili do tych jam. A myśmy odkryli jakąś taką gotową pieczarę i weszliśmy do niej, a tam na takim uklepanym jakby siedzeniu siedziała Hanka, a obok niej dwójka młodych Żydów, którzy prawdopodobnie tam się ukrywali przez całą wojnę. Ona tam widocznie weszła, bo się bała, i tam się ukryła. Myśmy się przenieśli do tej pieczary, ale nie na długo, bo później już powiedzieli, żebyśmy jednak wychodzili, żebyśmy w ogóle cofali się jak najdalej nad Wisłę czy za Wisłę. To było parę kilometrów do Wisły, przemieszczaliśmy się przez takie piachy wielkie, tam był teren piaszczysty, więc żeśmy się tam całą grupą przemieszczali. A żeby było weselej, to razem z tą gromadą szła krowa państwa Zapałów. Pan Zapała to był kierownik szkoły, ale miał krowę i z tą krową na postronku wędrował. To były nieprawdopodobne zdarzenia. Jak żeśmy szli z tego lasu przez drogę, która prowadziła do Warki, na tę pustynię, przez którą żeśmy się przemieszczali w kierunku Wisły, maszerowali żołnierze sowieccy, a na ich czele jakiś wysoki rangą oficer. Ojciec podszedł do niego, ponieważ doskonale znał rosyjski, zapytał, co tu się dzieje, jakie są wiadomości z frontu. On powiedział, że trzeba stąd wychodzić. Ja nagle zobaczyłam na ziemi kartkę, tak jak gdyby fotografia to była, na papierze fotograficznym, i podniosłam ją z ziemi. [To] była fotografia mojego ojca z chrześniakiem na ręku, synkiem doktora. Pomyślałam sobie: skąd się to wzięło? I skojarzyłam sobie z tym, że z biurka ojca wtedy zostały wyrzucone wszystkie papiery. Któryś z żołnierzy (może mu się podobała ta fotografia) wziął [ją] ze sobą i gdzieś tam rzucił po drodze. Ja mam tę fotografię.
Potem myśmy przedostali się przez Wisłę pontonem. Żołnierz, który przewoził broń takim pontonem, wracał pusty za Wisłę. I myśmy go jakoś uprosili, żeby nas przewiózł. On nas tam wyrzucił zresztą przed taką łachą, którą trzeba było przejść przez wodę. Kierowaliśmy się z kolei do nieznanych nam wcześniej (przynajmniej mnie) kuzynów ojca mojego, którzy mieli młyn w pobliżu Garwolina. Bardzo serdecznie nas przyjęli, bardzo dobrzy ludzie. I myśmy tam przez jakiś czas u nich byli. Oni byli zaangażowani w AK, a więc tam się przewijali ci akowcy. Ale wkrótce pojawili się Sowieci i NKWD sowieckie gdzieś było ulokowane we wsi. Natomiast przez dom wujostwa przewijali się żołnierze leśni, którzy szli na odsiecz Warszawie, bo już było powstanie wtedy. Myśmy widzieli wieczorem łuny. Łuny znad Warszawy.

Data i miejsce nagrania	2014-09-16, Lublin
Rozmawiał/a	Wioletta Wejman
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"